

Wojenne wspomnienia Leona Kopelmana.

Powstanie 1944 i wyzwolenie

Zapraszamy do poznania wojennych wspomnień Leona Kopelmana. Warszawiak z urodzenia, przeżył piekło warszawskiego getta. W pierwszych dniach sierpnia 1944 został wyzwolony z Gęsiówki przez żołnierzy batalionu „Zośka”. Jako ochotnik przeszedł z bronią w ręku szlak bojowy zgrupowania „Radosław” ze Starego Miasta na Czerniaków. Po wyzwoleniu w 1945 r. wraz z kolegą wyjechał do starożytnej kolebki swojego narodu – Palestyny.

Kiedy wybuchło powstanie w sierpniu 1944 r., Niemcy postanowili przenieść nas z Pawiaka na Gęsiówkę. Przed wybuchem powstania nie mieliśmy pojęcia, że ono wybuchnie. Nie mieliśmy właściwie żadnych sygnałów. Pierwszy sygnał mieliśmy, kiedy Niemcy wyprowadzili nas z Pawiaka na Gęsiówkę.

My nie byliśmy pewni, czy oni naprawdę chcą nas przenieść, czy też planują nas zlikwidować. Wiedzieliśmy, że w drodze między Pawiakiem a Gęsiówką był plac, gdzie Niemcy przeprowadzali egzekucje zabijając polskich więźniów. Zналиśmy cały teren i wiedzieliśmy jak przebiega droga z Pawiaka na Gęsiówkę. Umówiliśmy się między sobą, że jeśli dojdziemy do miejsca, które prowadzi na plac, na którym były egzekucje to wszyscy się tam rozbiegniemy. Każdy będzie biegł w innym kierunku, kto się będzie miał uratować, ten się uratuje. Jeżeli natomiast pójdziemy drogą na Gęsiówkę, to będziemy szli spokojnie.

Okazało się, że konwojenci przyprowadzili nas na Gęsiówkę. Na Gęsiówce byli Niemcy i Żydzi greccy sprowadzeni tutaj z Auschwitz. Zajmowali się oni zbieraniem wszystkich wartościowych rzeczy z domów byłego getta, które było już zupełnie opuszczone. Wszyscy Żydzi zostali wywiezieni. Więźniowie z Auschwitz mieli na sobie pasiaste ubrania z papieru. Żydzi bardzo w nich marzli, bo pogody były rozmaite a oni nie mieli żadnego innego ubrania. Codziennie chodzili

do pracy, pracowali bardzo ciężko. Niemcy maksymalnie utrudniali im życie, kazali nosić cegły w drodze do pracy. Zrozumiałe, że właściwie nie dawali im prawie nic do jedzenia. Myśmy trochę im pomagali, mieliśmy stosunkowo lepsze warunki.

Kilka dni potem, nie pamiętam dokładnie daty, Pawiak został zajęty przez Armię Krajową. Potem przyszli do nas na Gęsiówkę czołgami i piechotą i wyzwolili nas z Gęsiówki. Myśmy się bardzo ucieszyli, a powstańcy zabrali do niewoli tych co nas pilnowali, Ukraińców i Niemców.

W momencie wybuchu powstania jeden z moich współwięźniów, kulawy ślusarz, wykopanym wcześniej tunelem ze stolarni przeszedł kanałami do miasta. Inny mój znajomy, pan Bielecki, który dziś żyje w Izraelu, po likwidacji getta ukrywał się w bunkrze na Starówce i żył tam kilka miesięcy do czasu wyzwolenia. Kiedy wyszedł z bunkra, miał już dużą brodę, bo nie było tam warunków, żeby się ogolić.

Ocalał również mój szkolny kolega **Fredek Ajdelbaum**. Po likwidacji getta był przechowany z całą swoją rodziną przez Polaka p. Józefa, którego nazwiska, niestety, nie pamiętam. W czasie powstania 1944 r. i po jego zakończeniu ukrywał się w bunkrze do momentu wyzwolenia Warszawy przez Rosjan.

Myśmy włamali się do magazynów niemieckich. Wzięliśmy stamtąd wojskowe mundury niemieckie i broń – karabiny. Nie pamiętam dokładnie, jakiego gatunku była to broń, chyba były to takie małe karabiny maszynowe, krótkie. Ubraliśmy się w niemieckie mundury – panterki. Natychmiast zgłosiliśmy się do służby w Armii Krajowej, z którą walczyliśmy później na Starym Mieście. Byliśmy w jednostce, która nazywała się batalion „**Zośka**”. Powstańcy mieli 2 czołgi, które zdobyli na Niemcach. Byliśmy razem z żołnierzami z „Zośki” na Starówce, która była bardzo mocno ostrzeliwana przez Niemców pociskami Nebelwerfer. Były to pociski zapalające, burzące domy i wznecające pożary. Była to straszna broń.

Nie pamiętam, niestety, nazwisk i pseudonimów ludzi, którzy byli ze mną w plutonie „Zośki”. Pamiętam tylko nazwiska Żydów z Pawiaka, którzy byli tu ze mną. Między innymi byli to **Wiśnia** i **Filar**. Filar zginął śmiercią żołnierza w Powstaniu, został odznaczony za męstwo. Pan Wiśnia

został po zakończeniu wojny w Polsce, gdzie zmarł kilka lat temu. Pamiętam jednak doskonale, że był tam jeden młody porucznik, który został zraniony odłamkami szrapnela. Miał wiele ran, z których ciekła krew. Jak z kolegą złapaliśmy jakiś wózek, położyliśmy na nim rannego porucznika i zawieźliśmy do tymczasowego szpitala, który był na Starówce. Z racji posiadanej przez nas broni walczyliśmy na Starym Mieście jako żołnierze, a nie sanitariusze lub łącznicy.

Ciężkie walki trwały jakiś czas. W końcu widzieliśmy, że jesteśmy otoczeni i nie ma żadnej możliwości uratować się. Pewnej nocy pod koniec września przeszliśmy kanałami kanalizacyjnymi ze Starówki na Śródmieście. Droga była, co zrozumiałe, bardzo nieprzyjemna. W kanałach było ciemno, zapach był nienajlepszy, szliśmy nie bardzo wiedząc, dokąd. Mieliśmy ze sobą jakiegoś przewodnika, który najprawdopodobniej na tym się znał. Trwało to kilka godzin i w końcu wyszliśmy z tego kanału w Śródmieściu. Było to, jeśli sobie dobrze przypominam, na Nowym Świecie przy Wareckiej, ale nie jestem tego pewien.

W Śródmieściu było zupełnie inne życie. Tam wówczas był jeszcze zupełny spokój. Niemcy wtedy jeszcze zupełnie nie atakowali Śródmieścia. Najpierw zajęli się Starówką, dopiero potem zabrali się za Śródmieście. Na Śródmieściu w międzyczasie powstały rozmaite niby biura. Zrobiono niby tymczasowy rząd i tymczasowy magistrat i rozmaite urzędy, atmosfera była bardzo dobra. Myśmy przyszli ze Starówki bardzo zmęczeni i brudni, z bronią, której w Śródmieściu było raczej mało. Na Śródmieściu bardzo ładnie nas przyjęli.

Jako ciekawostkę pamiętam, jak poszedłem do mojego domu na Kruczą 7, gdzie mieszkałem przed wojną. Spotkałem tam moich przyjaciół, kolegów i sąsiadów sprzed wojny. Kiedy mnie zobaczyli, bardzo się ucieszyli i powiedzieli: „Lolek, ty jeszcze żyjesz?” Trudno im było uwierzyć, że się uratowałem, żyję jeszcze i na dodatek przychodzę z bronią i w mundurze jako żołnierz Armii Krajowej.

Po zlikwidowaniu obrony Starówki zaczęli atakować Śródmieście. Myśmy ze Śródmieścia przeszli na Czerniaków. Na Czerniakowie znowu były ciężkie walki. Niemcy zaczęli nas ostrzeliwać, bombardować i atakować czołgami. Ciekawym zdarzeniem było spotkanie z jednostką niby to Czerwonej Armii, a właściwie było to Wojsko Polskie, którego żołnierze byli rekrutowani w Rosji,

tzw. armia Berlinga. Przepłynęli oni jako desant przez Wisłę. W końcu skoncentrowaliśmy się wszyscy w jednym miejscu, broniąc domu na Czerniakowie. Byli tam też z nami oficerowie Armii Czerwonej, którzy kiedy atakowały nas czołgi, kierowali przez radiostację ogniem artylerii z Pragi, aby zlikwidować te czołgi.

W końcu bronił się tam ostatni dom, w którym była też ludność cywilna. Wywiesili oni białe prześcieradło, że niby się poddajemy. W końcu wszyscy dostaliśmy się do niewoli. Wtedy Niemcy zabrali nas w Aleję Szucha, gdzie była główna komendantura Gestapo. Tam trzymano nas 2 dni. Ja obawiałem się, żeby nie rozpoznali mnie gestapowcy, którzy znali mnie z mojej pracy w garażach na Dynasach. Jakoś mi się jednak udało.

Z Alei Szucha przeprowadzono nas na Wolę do kościoła. Tam między innymi byli Żydzi z Węgier, przywiezieni swojego czasu z Auschwitz na Gęsiówkę. Dwóch z nich zwróciło się do Niemca. Powiedzieli, że oni są z Auschwitz i nie mają nic wspólnego z powstaniem. W odpowiedzi Niemiec postawił ich pod ścianą i rozstrzelał.

Z Woli przewieźli nas do Pruszkowa. W Pruszkowie były takie duże hangary, w których przeprowadzano selekcję. Jeńców z Armii Krajowej Niemcy zabierali do obozów jenieckich w Niemczech, młodych cywili zabierano do pracy w Niemczech, a starszych i dzieci wysyłano w rozmaitych kierunkach do Generalnej Guberni, znajdującej się pod okupacją niemiecką.

Ja czułem się niezbyt pewnie. Było pewne, że jeśli się wyda, że jestem Żydem, nie mam żadnej szansy, aby się uratować. Zwróciłem się do ludzi z Armii Krajowej, aby mi pomogli, w miarę możliwości. Powiedzieli mi, że polskim naczelnikiem tego hangaru jest członek Armii Krajowej i możliwe, że on będzie mógł mi pomóc. Zwróciłem się do niego o pomoc. Powiedział mi, że codziennie przed wieczorem Niemcy robią selekcję i wagonami wysyłają wszystkich młodych do Niemiec, albo do pracy, albo do niewoli.

Powiedział mi, że on mnie przechowa. W hangarze była taka komórka, w której miałem się schować, gdy będzie selekcja. W tej komórce poza mną ukrywała się jedna pani oraz dwóch chłopaków z Armii Krajowej. Kiedy skończyła się selekcja i Niemcy wyszli, naczelnik hangaru

spytał mnie, w jaki sposób on może mi pomóc. Powiedziałem, że nie mam żadnego dowodu osobistego. Zabrał mnie wtedy do swojego biura i pokazał mi rozmaite dowody osobiste, po niemiecku Kennkarty i powiedział, żebym wybrał sobie coś, co będzie odpowiednie dla mnie. Wybrałem sobie Kennkartę na nazwisko **Andrzej Biało-brzeski**. I od tego dnia stałem się Andrzejem Biało-brzeskim. Z Czerniakowa przybyłem do Pruszkowa jeszcze w mundurze niemieckim. Potem przebrałem się jednak w cywilne ubranie.

Potem powiedziano mi, żebym zwrócił się do lekarki obozu, która nazywała się **doktor Kielbasińska**. Była ona volksdeutschką i szukała sobie alibi, żeby po wojnie nie robiono jej problemów. Jej mąż był Polakiem. Poszła ona do głównego lekarza tego obozu, Niemca i wydostała od niego zaświadczenie, niby to dla jakiegoś niewolnika, że jest chory na suchoty, gruźlicę. Potem powiedziała mi, że kiedy będzie jechała z Pruszkowa do swojego domu, do szpitala w Milanówku, będę mógł z nią pojechać. W ten sposób wydostanie mnie z Pruszkowa.

I rzeczywiście tak się stało. Wywiozła mnie i przyjechaliśmy do Milanówka. W Milanówku powiedziała mi: „No, teraz jesteś wolny, możesz sobie iść dokąd zechcesz.” A ja jej powiedziałem, że nie mam dokąd iść i chętnie zostałbym w szpitalu. Był to Szpital Chirurgiczny nr 1 w Milanówku. Naczelnym lekarzem szpitala i dyrektorem był pan **Jan Matusiak**. Mieścił się w willi, która nazywała się „Perełka”. Było tam dużo rannych z powstania, którzy tam byli leczeni. Robiono im tam różne amputacje i inne zabiegi. Pracowałem tam niby jako sanitariusz, ale wykonywałem też różne inne prace. Siostrami była zakonnice Polki. Personel szpitala nie wiedział, że jestem Żydem, może niektórzy się domyślali. Znałem stosunkowo dobrze język polski, tak więc ludzie z mojego otoczenia myśleli, że jestem Polakiem, a nie Żydem.

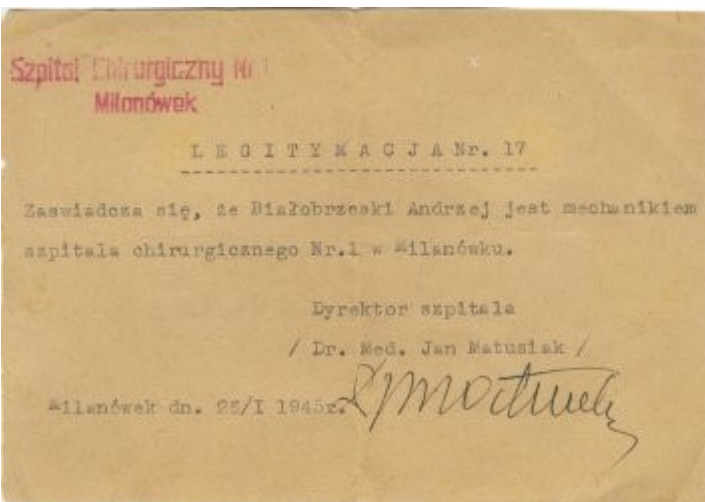
Gdy byłem już w Milanówku, dowiedziałem się, nie pamiętam już w jaki sposób, pod jakim adresem przebywa ranny na Starówce porucznik, o którym wcześniej opowiadałem. Pojechałem do niego i opowiedziałem mu, kim jestem i gdzie się spotkaliśmy. On poradził mi, żebym udał się do Armii Krajowej w Kielcach. Dał mi nawet list polecający, w którym napisał, że jestem dobrym i odważnym żołnierzem mimo ... mojżeszowego pochodzenia. Nie bardzo podobał mi się ostatni fragment listu. Postanowiłem nie jechać do Kielc i pozostałem w Milanówku.

Pewnego dnia, gdy byłem w szpitalu, zwrócono się do mnie o pomoc. Powiedziano, że leży tu jakiś jeniec, chyba wojskowy, Francuz. Ponieważ znałem trochę języki, poproszono, abym się z nim dogadał. Poprosiłem, żeby zostawiono mnie z nim sam na sam w pokoju. Kiedy tak się stało poznałem tego niby Francuza. Był to jeden z Żydów greckich, którego znałem jeszcze z Gęsiówki. Nazywał się Ino Varsano, a przedstawiał się jako Francuz **Jean Vearsaneux**. Pytałem go co z nim jest, czy rzeczywiście jest ranny. Powiedział mi, że jest zdrowy i żeby mu pomóc.

Pomyślałem, co mam z nim zrobić. W końcu postanowiłem, że wyślę go na wieś położoną 14 kilometrów za Milanówkiem, gdzie szpital miał dom dla rekonwalescentów. Wysyłano tam wszystkich rekonwalescentów, którzy byli prawie zdrowi po szpitalu. Powiedziałem, że trzeba go tam wysłać, bo musi porządnie odpocząć. Jedynym środkiem komunikacji między szpitalem a domem na wsi był wózek z koniem. Co tydzień wysyłaliśmy ze szpitala żywność do wiejskiego domku. Tego dnia „Francuz” pojechał na tym wózku z produktami i pozostał w domku prawie do końca wojny. Ja od czasu do czasu przysyłałem mu za pośrednictwem furmana ukłony. Nie miałem potem od niego żadnej wiadomości

W styczniu była ofensywa Rosjan. Wyzwolili oni Milanówek i tę część Polski w drodze do Niemiec. Natychmiast ruszyłem piechotą do Warszawy. Było to mniej więcej 30 kilometrów, jak sądzę. Dotarłem na Pragę, bo Warszawa lewobrzeżna była zupełnie zburzona. Na Pradze było wszystko tak, jak przedtem. Spotkałem tam innych ocalonych Żydów. Była tam już gmina żydowska. Mieli biuro i spisy uratowanych. Spotkałem tam innych uratowanych i żyliśmy na Pradze do maja 1945 roku, kiedy skończyła się wojna.

Na Pradze po wyzwoleniu spotkałem mojego znajomego Greko-Francuza. W międzyczasie nauczył się już trochę mówić po polsku (Żydzi mają na ogół zdolności językowe) i pracował jako szofer w fabryce czekolady Wedla.



Leon Kopelman, ur. 26.04.1924 r. w Warszawie, ocalony z getta warszawskiego żołnierz-ochotnik batalionu „Zośka” zgrupowania AK „Radosław”

Autor: Leon Kopelman

Data publikacji: 2019-10-03

Data wydruku: 2023-02-15 22:05

Źródło: <https://1943.pl/artukul/wojenne-wspomnienia-leona-kopelmana-powstanie-1944-i-wyzwolenie/>